

PRACA I ŻYCIE CODZIENNE W MAJĄTKU ZIEMIAŃSKIM. WSPOMNIENIE

Polacy lubią legendy. Mieliśmy *Wandę, co nie chciała Niemca*, króla *Popiela*, *Starą Baśń* Józefa Kraszewskiego oraz *Kłopoty Kacperka*, *góreckiego skrzata* Zofii Kossak. Dlaczego więc nie „oprawić” rodu Zaorskich w legendę, według Jana Zaorskiego z Glinnego Stoku?

Zaorscy przybyli na teren południowego Podlasia z okolic Ostrołęki, gdzie nad rzeką Orz znajdowały się dwa zaścianki o nazwie Zaorze. Nie jest pewnym, czy rzeczywiście było to pierwotne „gniazdo” nosicieli tego nazwiska, ponieważ jest jeszcze jedno Zaorze na Wołyniu.

Przypuszczalnie pierwszym Zaorskim z naszego „pnia rodzinnego”, który osiedlił się w pobliżu Parczewa, był – pochowany w 1841 roku na cmentarzu parafii parczewskiej, zmarły w wieku 82 lat – Szymon Zaorski, zapisany jako były dziedzic Wierzbówki.

Można sądzić, że właśnie Szymon skłonił Franciszka Zaorskiego do ulokowania się w rejonie Parczewa. A tenże – Franciszek – sam będąc kawalerem, wyswatał swego bratanka, Augusta Zaorskiego, z młodszą od niego o 20 lat, bardzo posażną, Seweryną Głuchowską. Za wielki posąg jej został kupiony majątek Siemień o powierzchni 3195 mórg, w skład którego wchodziły wsie: Wierchowiny, Tulniki i Brwinów. Niezależnie od tego, Franciszek Zaorski przepisał na bratanka Augusta majątki Glinny Stok i Miłków.

August Zaorski, mój Pradziad, spłodził z Seweryną siedmioro dzieci: Józefinę (moją Babkę), Seweryna, Jana, Wacława, Augustę, Eugenię i Zenobię. Wszystkie dzieci, poza Eugenią, która wyszła za mąż za poważnego naukowca, doktora medycyny, Wacława Sobierańskiego, miały majątki ziemskie.

Po śmierci Augusta Prababka Seweryna wyszła ponownie za mąż, za Henryka Ginczelewskiego, z którym miała tylko jedną córkę – Halinę. Mieszkali oni początkowo w Siemieniu, a potem w Drażkowie.

Zaorscy, moja rodzina po kądzieli, posiadali wiele majątków, które przekazywali sobie w dziedziczeniu lub obdarowywali się wzajemnie. Ja odziedziczyłem po nich na parczewskim cmentarzu przy Bazylice Mniejszej – nawiedzonej niegdyś przez kardynała Karola Wojtyłę – pięć grobowców z dwudziestoma dwoma zmarłymi. Mam nad nimi pieczę nie tylko 1 listopada, ale przez cały rok. Uważam bowiem, że zawdzięczam im nie tylko życie, ale wszystkie miłe chwile, o których piszę niżej.

Na co dzień nie zajmuję się badaniem zagadnień dziejów polskiego ziemiaństwa. Jestem tylko skromnym magistrzem prawa z KUL-u. To, co podam

poniżej, czerpałem z własnej obserwacji oraz z tego, co opowiadali mi rodzice, dziadkowie, starsze ciotki czy wujowie. Jestem więc prawie autentycznym uczestnikiem tego, co pozwolę sobie Czytelnikom *ex capite* przekazać.

Naturalnie chylę głowę przed znawstwem mych poprzedników, współautorów prezentowanej książki dotyczącej życia lubelskiego i podlaskiego ziemiaństwa. Różnica między nami polega na tym, że oni swą wiedzę czerpią z książek – *ex libris*.

Czym innym jest pięknie opisać wspaniały pokot upolowanej zwierzyny, zawsze według rodzaju – najpierw groźne drapieżniki, jak wilki, itp. – a kończąc na piórze, czyli bażancie, przy dźwiękach sygnalistów, różnych dla każdego rodzaju zwierzyny. A czym innym rozpaść z kilkoma kolegami zwykły ogień, piec w nim ziemniaki, a potem wyciągać je z popiołu, przerzucając z ręki do ręki, bo parzyły, i zjadać ten bardzo skromny, ale pyszny produkt ubogiej ziemi podlaskiej.

GLINNY STOK

Majątek Glinny Stok był w rękach Zaorskich od 1842 roku. W tym były dwie cegielnie i młyn zwany „na Czechu”. Nazwę tę nosił też most na rzece Piwonii, płynącej wraz z rzeką Konotopą od strony Parczewa. August Zaorski zmarł w 1891 roku i Glinny Stok przekazał testamentem najstarszemu synowi, Sewerynowi. W okresie międzywojennym majątek ten bardzo zmniejszył swą powierzchnię na skutek ogromnych zniszczeń z czasu pierwszej wojny światowej. Trzeba było odbudować wszystko. Poczynając od dworu spalonego przez Kozaków, jak też wszelkich zabudowań i urządzeń dworskich. Seweryn Zaorski, Wuj mej Matki, którego znałem już osobiście, był bardzo prawym i udzielającym się człowiekiem. Po jego ciężkiej chorobie majątek ten przejął syn – Jan, którego wyrzucono na podstawie dekretu o reformie rolnej z 1944 roku.

Nowy dwór glinnostocki był dość dużym budynkiem. Liczył chyba 9 czy 10 pokoi, w tym duży salon i pokój jadalny. Kuchnia była w piwnicy i potrawy były dostarczane do tak zwanego kredensu windą ręczną. W piwnicy była też ręcznie napędzana pompa.

Majątek Zaorskich był jakby częścią mojego życia. W mych *Wspomnieniach Rodziny* (wydanych tylko dla Rodziny) opisałem go bardzo skromnie, tylko na sześciu stronach A4. Więc, co tu mogę powiedzieć?

Mieszkańcy dworu to właściciele: Seweryn i jego żona Bronisława, Jan i żona jego Halina z Onichimowskich oraz dzieci – Tadeusz, Hania, Ninka i Marek. Byli naturalnie też rezydenci i kuzyni – pani Kamecka zwana zdrobniale Miniusią i Tadeusz Bartold. Oboje zajmowali się pracami dworu lub gospodarstwa. Były tam jeszcze matka ciotki Haliny, pani Onichimowska i służące, co najmniej trzy, oraz osoby na tak zwanym łaskawym chlebie.

W Glinnym Stoku wszyscy wiedzieli, co mają robić, do tego bez pośpiechu, spokojnie i pogodnie. Bywaliśmy tam bardzo często. Nie tylko w niedziele lub

święta, ale też w dni powszednie. Było tam po prostu cudownie. Wujostwo Zaorscy oraz moi Rodzice byli bardzo muzykalni. Gra na fortepianie lub skrzypcach oraz piękne śpiewanie miało miejsce zawsze, przy każdych odwiedzinach. Meble w salonie były mahoniowe, okrywane na co dzień pokrowcami. Ciotka, Halina Zaorska, uczyła nas, dzieci, jak pracuje się w ogrodzie warzywnym. Tak zwana „kuchnia” też była wspaniała. Jadałem tam karasie lub cielęcinę w śmietanie podawane na takich metalowych półmiskach, przypieczone na wierzchu. Tam, pierwszy raz przed wojną, jadłem sękacze i to naturalnie robione w domu. Tak tam jadano.

W Glinnym urządziło się imieniny trzech Hanek: mojej siostry, Hanki Zaorskiej i Hanki Augustowiczówny – kuzynki. Często bywali tam goście. Zawsze witało się ich z otwartymi ramionami. Ale też przestrzegano właściwego zachowania dzieci, czy to przy stole, czy nawet w czasie zabawy we dworze lub w parku.

Wiem, że wuj Sewer Zaorski wspierał bardzo poważnie budowę kościoła w Parczewie. Wiem też, że jego syn Jan, po ogromnym pożarze wsi zajął się osobiście – organizacyjnie i finansowo – pomocą w jej odbudowie. Przykładem, jak odnosili się do wuja Jana mieszkańcy wsi Glinny Stok, może być jedna z wypowiedzi po jego śmierci w 1976 roku, a więc ponad 30 lat po reformie rolnej i opuszczeniu przez Zaorskich tego majątku: „pochowaliśmy naszego dziecka” – powiedziała jakaś uczestniczka pogrzebu.

Wuj Jan Zaorski był doskonałym rolnikiem i ekonomistą. Ukończył specjalny wydział rolnictwa i ekonomii w Dublanach pod Lwowem. Parę lat przed II wojną hrabia Żółtowski powierzył mu prowadzenie majątku Milanów, który upadał wskutek uprzedniej, bardzo nieciekawej administracji. Ale bywały też tragiczne wydarzenia. Pod koniec wojny, gdy chodziły bandy rabunkowe, przydarzyło się, że jakiemuś „bojcowi” nie podobał się piękny serwis koreckiej porcelany, stojący w ślicznej czeczotowej serwantce w salonie. Otworzył drzwiczki serwantki i kolbą od automatu wytlukł wszystko, co tam stało. Po tym fakcie Wujostwo Zaorscy przenieśli się do Parczewa, gdzie zamieszkali aż do tak zwanego „wyzwolenia”.

Syn Jana, czyli prawnuk Augusta Zaorskiego – Tadeusz – mając 16 lat wstąpił do Armii Krajowej. Brał udział w akcji „Burza”. Po rozbrojeniu przez NKWD, jako tak zwany „szczeniak ochotnik”, wstąpił do II armii Wojska Polskiego i przeszedł szlak bojowy aż do Nysy Łużyckiej. Po powrocie ukończył studia w Lublinie aż do docentury. Od 1968 roku pracował w Instytucie Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach. Zajmował się szczególnie chmielarstwem i własnym sumptem wydawał przez 5 lat „Biuletyn Chmielarski”.

Został też odznaczony, jako jedyny Polak, orderem III stopnia „Komandor Chmielu” przez Międzynarodową kapitułę w Strasburgu. A nas, czyli Rodzinę, najpierw przymuszał, a potem wciągnął do pisania w „Gazecie Rodziny”, ukazującej się raz na rok, jak to mawiał: „pod choinkę”, opisującej co, kiedy i jak

w danym roku zrobiła każda gałąź naszej Rodziny. Zwyczaj ten kontynuujemy nadal, od 20 lat. Po przejściu na emeryturę napisał około 1500 wierszy.

SIEMIENI

Chciałbym jakoś zauroczyć Czytelników obrazem miejsca mego dzieciństwa i dlatego pozwalam sobie przytoczyć kilka fragmentów z napisanych kilkanaście lat temu wspomnień *Siemień moja miłość*¹.

Nisko położony Siemień, z masą łąk i zbiorników wodnych, jawił się czasem (szczególnie gdy wracaliśmy z usytuowanego wyżej Glinnego Stoku od kuzynów Zaorskich lub Żminnego od państwa Zajączkowskich) jako morze białej mgły. Wspaniała był też siwy tuman na stawie, zwłaszcza jesienią. Pamiętam, że kilka razy, gdy wypływałem łódką w taką mgłę, z rufy nie było widać dziobu.

Jeśli to bywało w okresie połowu, można było usłyszeć gdzieś w oddali przytłumione wołania: „A wykurz tam spody!” lub „Kaczor idzie!”, albo „Linę na babę!”, „Spuście mostek, mocniej lewą czy prawą pojazd!”².

Jak u Choromańskiego w *Zazdrości i medycynie* wiatr jest głównym bohaterem, tak w Siemieniu dominantą była woda, a dla mnie mgła, która nie przybijała mnie, ale wręcz przeciwnie, podniecała, jak pachnąca dobra kawa lub kieliszek koniaku.

Mgłę można pokochać jak kobietę, muzykę lub poezję, nie dlatego, że jest ładna, dobra czy przyjemnie brzmiąca, lecz dlatego, że jest taka, jaka jest, przemawiająca do serca. Może ona być również, jak kobieta, przyczyną upadku lub wypadku.

Największą atrakcją Siemienia były wody: Wielki Staw, Bobowiska, zimochowy i szereg innych zalewisk. Obszary wodne Siemienia wynosiły przed 1939 rokiem około 594 ha. Jako hodowlane określano tylko Wielki Staw, czyli 394,09 ha, Kroczkowych było 60,94 ha, narybkowych 24,67 ha i nieużytków aż 111,44 ha.

Przy grobli Pierściennej były też pewne ciekawostki, czyli tak zwane grądk. Były to jakby półwyspy, łączki lub bagienka, czasem zupełnie niedostępne. Niektóre z nich to: Szałasowe Grądy, Malinowe Grądk, Świński Grądek. Była też łączka o szczególnej nazwie – Łowczany Bagien oraz Ukrainka. Prawdziwa wyspa, okolona ze wszech stron wodą na Wielkim Stawie, to Zielony Grąd.

Rzeka Tyśmienica wpływała do stawu służą o chyba 13 oknach, szerokości około 1,5 m. Śluza ta była nieprzejezdna. Była na niej tylko kładka do przejścia. Tyśmienica wypływała ze stawu przy rybakówce, czyli budynku mieszkalno-użytkowym, stojącym mniej więcej tu, gdzie obecnie jest pochyły zjazd do stawu, służą znacznie wyższą i potężniejszą, ale węższą. Miała ona tylko 6 okien, ale szerokich na ponad 2 m. Wypływ wody był zamykany dwoma rodzajami stawideł: gruntowymi i górnymi.

1. M. Bielski, *Siemień moja miłość*, „Radzyński Rocznik Humanistyczny” 2010, t. 8, s. 241–265.

2. Pojazd – nazwa wielkiego i ciężkiego wiosła na galarze.

W części użytkowej rybakówki znajdowała się tak zwana sieciarnia i wystawka. Pierwsza to jakby ogromny pokój ze ścianami tylko z balików i częściami ze strychem. Był to skład wszelkich sieci, a więc: wielkiego włoka, małego włoczka, sufat dużych i małych, kaczerków, wioseł, lin i innego sprzętu rybackiego. Włoki składały się ze skrzydeł i matni oraz miały liny. Wielki miał skrzydła długości łącznie około 300 m, a matnia mogła pomieścić około 1 tonę ryb. Liny do tego włoka wynosiły łącznie około 500 m na przodzie matni był przytwierdzany „kaczor”, czyli deska znacząca, że tu zaczyna się matnia. Mały włoczek miał około 30 m. Sufaty, czyli siatki składane, rozpięte w formie trójkąta równoramiennego na dwóch drążkach sosnowych, miały wymiary: duża około 2,5 m i mała około 1,5 m. Kaczerki to siatki do podbierania ryb. Też naturalnie na pałakach drewnianych. Również szufle do wody były drewniane.

Kiedyś słuchałem, jak w radiu pani Krystyna Sienkiewicz mówiła pięknie o przyrodzie i jeziorach. Mówiąc, użyła tam określenia „kaczki to takie ptasie jamniki”. Ach, pani Krystyno, nie widziała pani chyba i nie słyszała lecącej dzikiej kaczki. Widać, że nie zna Pani całej poezji tego ptaka.

Po pierwsze – śliczne ubarwienie kaczora na szyjce i piórkach ogona. Po drugie – wspaniała proporcja wydłużonej szyi i reszty tułowia. A po trzecie i najważniejsze, ten lekki świst lecącej kaczki. To leciuteńkie „fuu, fuu”. Poświst lecącej kaczki może oddać w przybliżeniu tylko dobry flecista, grający absolutnie *piano* w zamartej sali koncertowej. Poezję lecącej kaczki potrafią ocenić chyba tylko myśliwi, ale oni niestety przerywają to strzałem.

Wypływając łódką około południa, gdy słońce paliło i ustawał prawie wszelki wiatr, a tylko drobnuteńka fala marszczyła toń, trzeba się było położyć płasko na dziobie łódki, tak, aby klatka piersiowa leżała tam, gdzie od strony zewnętrznej stykała się z łódką woda. Wtedy plusk zmarszczek fali, zwiększony rezonans dna łodzi, dawał wrażenie rozmowy serca z wodą. Tylko miłująca dłoń położona na kochanym sercu może dać podobne wrażenie.

Ale coż powiedzieć o ukośnych promieniach słońca odbitych w ledwie marszczącej się fali? Gdy płynęło się łódką cichutko, bez wstrętnego silnika, bez żadnego gadania, sycąc się urokiem wody, najlepiej „na pych”, prosto w taką brylantową smugę, wrażenie było niepowtarzalne.

JESIENNY POŁÓW

Główną jednostką pojazdowo-odławiającą był tak zwany galar, czyli krypa o płaskim dnie, raczej płytka, o rozmiarach około 3,5–4 m szerokości i około 5,5 m długości. Na galarze był składany wielki włok. Na środku, na pewnym podwyższeniu znajdowała się „baba”. Był to jakby kołowrót w formie beczki, ale nie pękatej, lecz o równych ścianach. Zakładało się na nią drążki do kręcenia, co nie było łatwe, i nawijało się na nią linę, która była przedłużeniem włoka. Opór wody był więc ogromny. Drugą jednostką połowową była wielka łódź,

tak zwana „łodyga”. Miała chyba około 7–8 m długości, a na pomostku również „babę” do skręcania liny. Jednostki te posuwały się przy pomocy olbrzymich wiosł zwanych pojazdami na galarze i pojazdkami na łodydze. Przy każdym wiosle stało dwu, a czasem czterech ludzi i naciskało na nie z całej siły. Była to bardzo ciężka praca. Zaciąg, czyli początek fazy łowienia ryb, zaczynał się od rozjazdu galara i łodygi półkolami.

Wyrzucało się do wody włók, a potem liny. Wszystko to odbywało się w czasie jazdy, czyli odpływania od siebie dwu wyżej wymienionych jednostek. Lina odkręcała się wtedy z „baby”. Po pewnym czasie i zatoczeniu półkola obie jednostki zjeżdżały się w określonym miejscu przy brzegu i tam najpierw ciągnęło się włók linami, kręcąc „babą”, a potem już wybierało się rękoma, stojąc na galarze. Była to chyba najcięższa praca i do tego przykra, bo włók wyciągnięty z wody był naturalnie cały mokry. Ludzie byli mokrzy od pasa, a często od piersi. Czasem trzeba było „strzelić” liną, czyli – jeśli włók zszedł źle, jakoś opornie lub widać było, że ryby „wychodzą” poza włók – przestraszyć je. Skrzydła włoka miały od góry pływalki zrobione z kory topolowej, a na dole przy dnie trochę żelaznych ciężarków, a trochę słomianych węzłów, aby nie za bardzo szły w błoto.

Gdy skrzydła zostały już zebrane, opuszczało się z galara tak zwany moset, czyli deski zbite prawie na szerokość galara i wyciągało się na niego matnię – ten olbrzymi wór, który mógł pomieścić prawie tonę ryb. Ryby wybierało się kaczerkami do łódek, następnie odwoziło się je na brzeg koło rybakówki. Bywały szczególnie dobre miejsca zaciągów. Na przykład zaciąg na dąb rosnący na miłkowskim brzegu był prawie zawsze dobry. Ale bywały też zaciągi nietrafione, czyli z bardzo małą ilością złowionych ryb.

Administratorem całego majątku Siemień, a więc – ponad 430 ha użytków rolnych i ponad 600 ha wody – od 1923 roku aż do początków II wojny światowej była panna Augusta Zaorska, córka Augusta Zaorskiego.

Gospodarstwem wodnym zajmowali się: początkowo Paweł Czarkowski, mąż najmłodszej córki Augusta, Zenobii, a po jego śmierci, najstarszy syn Czarkowskich – Jerzy. Średni Czarkowski, Andrzej, był malarzem, a najmłodszy, Jaś, zawodowym wojskowym.

Roboczym zawiadowcą rolnictwa był karbowy. Początkowo Brzozowski, a potem Jan Antoniuk. Karbowy chodził na tak zwaną dyspozycję do Augusty, która polecała mu wykonywać takie czy inne prace rolne. Do najwcześniejszych (o piątej rano w lecie i szóstej w zimie) jego zadań należało dzwonienie na wszystkich pracowników rolnych.

To on fizycznie określał, co kto ma robić. Latem na przykład do żniwa, jesienią – do kopania ziemniaków. Przestrzegał też, czy właściwie prowadzone są tak zwane obrządki inwentarskie, poczynając od stajni, a kończąc na oborze. Krów w tamtych czasach było chyba 30 lub 40 sztuk. Koni fornałskich, czyli do prac rolnych, było 16, plus dwa stare do drobnych prac porządkowych lub codziennych, jak choćby wożenie wody do siedzib poszczególnych współwłaścicieli majątku. W Siemieniu były takowe trzy. Dwór, gdzie mieszkała Augusta

(zwany w rodzinie – „Dołkiem”), Czarkowskich w takim jakby starym dworze koło podwórza (zwany w rodzinie – „Górką”) i taki malutki zwany „Domkiem”, gdzie mieszkała najstarsza współwłaścicielka, moja Babka Józefina Grodzicka, z Bielskimi, czyli córką, zięciem i nami, dziećmi.

Wracając do karbowego, to on wskazywał miejsca, gdzie były stawiane sterty ze zbożem na polu. Niby to prosta sprawa. Dwie sterty musiały być ustawione w takim oddaleniu, aby można było wprowadzić między nie młocarnię z rozkładanymi stołami. Nigdy nie widziałem, aby mierzył te odległości. On wiedział na oko i nie mylił się nigdy. Wiedział też i uczył fernali, jak ma być szeroki i wysoki wóz ze zbożem, aby dało się wjechać do stodoły. On „rozstawiał” za żniwiarką „podbieraczy” w zależności od zwartego lub rzadkiego łanu. On uczył, jak „przy-powęzać” snopki na wozach. W Siemieniu nie było rządcy, więc karbowy musiał być mądry. Od niego właściwie tylko pastuch był „prawie niezależny”. Fornale i stangret też byli trochę niezależni, ale pieczę ogólną miał i tam.

Á propos krów, należy wiedzieć, że w oborze, nawet w zimie, było zawsze tak gorąco, że pastuch chodził tylko w koszuli i portkach. Było to wynikiem gnoju pod krowami, który dawał dużo ciepła.

Jeśli chodzi o fernali, to w Siemieniu było ich czterech. To znaczy, każdy miał dwie pary koni. Sam pracował lepszymi, a jego parobek miał trochę gorsze. Za tę czwórkę każdy fernal był odpowiedzialny osobiście. Zadawanie obroku należało raczej do fernala, ale wyrzucanie spod koni gnoju, to była robota czeladnika.

Do obory były „przynależnione” dójki, czyli takie pracowniczki, które wykonywały te czynności. Było ich chyba 4 czy 5. Nigdy nie widziałem, aby myły, szczególnie pod bieżącą wodą, ręce albo wymiona krów. Zresztą, takowej nie było nawet do picia, a co dopiero do mycia rąk. Mleko zlewało się do tak zwanego miernika i pastuch zapisywał, ile było z każdego udoju. Były bowiem udaje ranne, południowe i wieczorne. Mimo braku higieny, jakoś nikt nie chorował, pijąc nawet takie „prosto od krowy” (czego zresztą nie lubiłem).

Jako wstęp do następnego tematu, przytoczę wiejskie powiedzonko: „Jeden twierdzi, że nawóz śmierdzi, a drugi przeciwnie, że pachnie przedziwnie”. Ano właśnie, nawóz rzeczywiście bardzo śmierdzi, ale ten spod świń. Nawóz spod krów nie śmierdzi tak mocno, ale daje, jak już pisałem, dużą ciepłotę. Za to nawóz spod koni naprawdę pachnie, ale tylko dla tych, którzy lubią lub kochają konie.

Od tematów tak prozaicznych, przejdę do, jak to się kiedyś mawiało, „Państwa”, czyli mojej rodziny. Tu muszę zaznaczyć dwa okresy: pierwszy z czasów młodości mej matki i drugi z okresu mej młodości, a raczej dzieciństwa. Okres pierwszy, to lata od początków ubiegłego wieku, a więc około 1907 roku do początków I wojny światowej. Wtedy stary dwór liczył chyba 12 lub 13 pokoi, nie licząc takich, jak przedpokój czy podobne pomieszczenia użytkowe, jak choćby kredens. Kuchnia była w oddzielnym budynku, jakieś 100 metrów od dworu. Naturalnie był kucharz i dwie tak zwane „podkuchenne”. Poza tym były też chyba dwie pokojówki, dwie – po kolei, nie razem – bony, czyli takie panie do nauki języków obcych. Mama wspominała mi Niemkę o imieniu



1. Janina z Ostrowskich, później Bielska, moja Matka.

Luiza, oraz Francuzkę, której imienia nie pamiętam. Jako korepetytor dla brata mej Matki zatrudniony był Polak, student, chyba późniejszy doktor medycyny – Kożuchowski.

Mama mówiła płynnie po francusku i niemiecku. Zajmowała się tak zwaną sztuką użytkową. Projektowała drobne meble (na przykład ten stolicek w formie serduszka, który pokazywałem w Kozłowie) i wycinała na nich własnej kompozycji wzory. Malowała też tak zwane batiki. Wytłaczała wieczka małych miedzianych pudełeczek. Bardzo lubiła jeździć konno i potrafiła z Siemienia pojechać rano do swej ciotki Czarkowskiej do majątku Chmielów za Parczewem, około 20 km w jedną stronę. Wracając do domu, zwy-

kle po drodze wstępowała do Glinnego Stoku lub Miłkowa, do swych wujów Seweryna albo Jana. Pisała też wiersze, a w wieku późniejszym, jeszcze jako panna, uczyła się śpiewu i gry na skrzypcach. Po wyzwoleniu kraju wstąpiła na polonistykę na KUL-u i wyszła za mąż za również muzycznego młodego człowieka. Z tego powodu znalazłem się na tym świecie.

Tu należy bezwzględnie wspomnieć o pewnym przypadku naukowo-histerycznym. Właśnie wuj mej Matki – Jan Zaorski, właściciel majątku Miłków koło Parczewa, będąc kiedyś wycieczkowo, podobno, w Ameryce Południowej zobaczył przepiękny las sosnowy. Tak się nim zachwycił, że zakupił sporo nasion szyszkowych tych drzew. Przywiózł do Polski i posiał blisko wielkiego stawu siemieńskiego. Sosny przyjęły się, podrosły i koniec na tym. Nigdy jakoś nie mogły wzrosnąć, choćby do wysokości naszych zwykłych polskich sosen. Znam ten las, który ma od chwili posadzenia około stu paru lat. Sosenki, bo nie sosny, są małe i jakieś takie słabe. Ciekawostka wyszła mi na spotkanie. Po II wojnie światowej, jeden z moich kolegów, studiujący w Poznaniu leśnictwo, powiedział mi, że na jakimś seminarium dotyczącym przesadzania czy

to drzew, czy to ich nasion, dowiedział się, że nie powinno się przenosić ich tak sobie, bez ustalenia warunków naturalnych. Profesor jako przykład podał studentom właśnie wieś Miłków koło miasteczka Parczew, gdzie tak postąpiono, czyli wbrew tej zasadzie, i sosny wegetują zamiast rozrastać się.

Przejdę teraz do drugiego okresu siemieńskiego, czyli mojego dzieciństwa czy młodości. To lata 30. ubiegłego wieku. Zamiast jednego dziedzica, było aż pięciu współwłaścicieli. Dlatego zamiast jednego dworu, były jeszcze dwa: „Górka” i „Domek”. Ten nasz „Domek” został przerobiony z byłego małego czworaka. Mieliśmy 4 pokoje, kuchnię, przedpokój, spiżarnię oraz łazienkę i dwie sionki. Mieliśmy też śliczny drewniany ganek, obrosnięty pachnącym winem z dwu stron i czerwieniejący jesienią z trzeciej. Śniadania i obiady, od połowy czerwca do połowy września, jadaliśmy właśnie na tym ganku.

Pod kuchnią oraz w piecach paliło się przeważnie torfem kopanym na majątkowym torfowisku o nazwie Rosieka.

Jedzeniem w Siemieniu były, poczynając od połowy lata aż do połowy stycznia, ryby. A więc szczupaki, które bardzo lubiłem, karpie, karasie i liny przyrządzane na różne sposoby, jak się tylko dało.

Podaję jeden szczegół. Duży karp nadziany kaszą jaglaną (nie wiem czy wszyscy wiedzą, że to z prosa), ugotowaną uprzednio z pieczarkami, ale takimi dziko rosnącymi na łąkach, prześlicznie pachnącymi. Ten karp musiał być pieczony w żeliwnej rynience i oblewany co kilkanaście minut roztopionym masłem. Były też robione szczupaki po żydowsku, czyli tak troszkę na słodko, faszerowane i inne, których nie pamiętam. Bywały też węgorze. Ale te węgorze, to nie takie, jak obecnie, ledwie na dwa palce. Tamte węgorze były co najmniej jak moje przedramię. Wyjaśnię jeszcze, że utrzymać węgorza w ręce potrafi tylko ten, kto wie, gdzie go trzymać, czyli przy samych skrzelach. Trzymany w innym miejscu wywinie się jak wąż.

W Siemieniu przestrzegano, aby do jedzenia ryb nie podawać noży. Przy talerzu były kładzione tylko dwa widelce. Nóż do ryby to, jak mawiano, *faux pas*.

Obiady jadało się we dworach o godzinie 12.00. Składały się one z zupy, jednego lub dwu dań drugich oraz deseru. Prawie zawsze był kompot.

Jak większość majątków przed wojną, w Siemieniu byliśmy szczególnie uzależnieni od Żydów. Latem przyjeżdżał do majątku bogaty Żyd z Parczewa, Lejba Mandelkern i wpłacał zaliczkę na ryby. Rozpoczęcie połowu zależało więc od świąt żydowskich. Biedniejsi bowiem zabierali mniejsze ryby na swe święta. Tak zwaną drobnicę, czyli małe rybki, brali Żydzi do tak zwanych „kojek”, czyli wypłatanych łubianek. Ale te łubianki były ogromne, miały chyba 0,5 m³. Do tego biedniejsi Żydzi otrzymywali za darmo z majątku drobno tłuczony lód do przesypywania tej drobnicy. Rybę kupiecką, czyli karpie, przenosiło się w wielkich koszach do zimochowów. Potem wieziono je samochodem, otwartą cysterną z dotlenioną wodą. Tak jechały nocą do Warszawy przed świętami Bożego Narodzenia.



2. Seweryn Zaorski, ukochany Wuj mojej Matki.

W Siemieniu były dwie lodownie. Jedna płytsza, na użytek podręczny (przecież przed wojną nie było lodówek), a druga bardzo głęboka – na lód ze stawu, gruby czasem na 50 cm, dla Żydów i na potrzeby majątku, szczególnie późną jesienią.

Wolny czas, szczególnie letni, to nasze, czyli dzieci, zabawy: kąpanie się w stawie, pływanie łódkami, łowienie ryb czy to na podrywki, czy na wędki.

Absolutną ciekawostką obyczajową były kąpiele córek Augusta Zaorskiego w sadzawce w Siemieniu, zwanej Kanałową. Schodziło się po schodkach wykonanych specjalnie w tym celu i zanurzało w wodzie o głębokości około półtora metra.

Szczególną ciekawostką były kostiumy kąpielowe pań. Jak opowiadała mi Babka, były podobne do fartucha kuchennego obecnie używanego. A więc zakrywały tylko przód ciała: biust, brzuch i dolną część ciała mniej więcej do połowy ud. Całe plecy i pupa były gołe. Było takie wiązanie w połowie, jak przy fartuchu. Naturalnie panie kapały się same.

Dorośli spędzali czas inaczej. W dzień roboczy doglądali prac czy to rolnych, czy rybackich. W niedziele lub święta grywali w brydża, albo przyjmowali gości. Ponieważ jak wspomniałem wyżej moi rodzice byli muzykalni, Mama grywała z jednym z nauczycieli na skrzypcach. Nazywał się Kasiura. Ojciec śpiewał arie solo lub na dwa głosy z panią, która była nauczycielką chyba w Wólce Siemieńskiej. Najczęściej jeździliśmy lub chodziliśmy na piechotę w niedziele do Glinnego Stoku do Zaorskich lub do Żminnego do państwa Zajączkowskich. Czasem jeździło się do Dębicy, majątku siostry Dziadka Wincentego Grodzickiego.

Były tam dziwne obyczaje. Przytoczę je, bo obecnie byłyby całkowicie niezrozumiałe. Panna Janina była dziedziczką całego majątku, ale przy ogromnym stole jadalnym w szczyte siadał jej młodszy brat pan Czesław, który prawie nic nie mówił. Przed zajęciem miejsc przy stole ten pan Czesław podawał wszystkim, łącznie z nami – dziećmi – rękę. Ale do nas wyciągał tylko dwa palce prawej ręki. Nie ustaliłem nigdy, czy miał przykurcz tamtych pozostałych palców, czy tak traktował tylko nas – dzieci. W tamtych czasach było nie do pomyslenia, aby zapytać o coś takiego starszych, choćby Rodziców. Gdy wszyscy

siedli, wchodził lokaj w białych rękawiczkach, niosąc wazę. Stawiał ją przed panem Czesławem i nalewał mu dwa niewielkie czerpaczki kluseczek na mleku. Pan Czesław jadł te kluseczki, a pozostali siedzieli, milcząc i czekali aż on to zje. Następnie lokaj zabierał wazę i za chwilę wnosił drugą z zupą, którą też nalewał każdemu z biesiadników, łącznie z panem Czesławem.

W tym majątku były hodowane pawie, które wstrętne krzyczały i lubiły nocować na kominach. My – dzieci – dostawaliśmy na pamiątkę pobytu piękne pióra od siostry Dziadka, panny Janiny.

Dziadek Wincenty uczęszczał do szkół w Dorpacie (obecna nazwa Tartu), mieście hanzeatyckim, które kiedyś należało nawet do Polski, a w czasach zaborów było jedynym miejscem należącym do cesarstwa rosyjskiego, w którym językiem wykładowym na uczelni był nie rosyjski, lecz niemiecki. Właśnie tam uczyło się sporo szlacheckiej polskiej młodzieży, której nie było stać na wyjazdy na przykład do Paryża lub Wiednia. Ciekawe, ale w tym Dorpacie uczyło się też sporo Niemców, którzy mieszkali w Rosji. Z tej uczelni Dziadek przywiózł wierszyk – bardzo wesolutki, który z pamięci zacytuję:

Dlaczego pan Polak wciąż popuszcza pasa, bo łydek ma tłusty a brzuch jak kolas:
Dlaczego pan Niemiec łydek ma nie tłusty, bo mu go zheblował pan walcer
w zapusty.

Czas kończyć moją opowieść, której początki tkwią w legendzie, a kończą się krotochwilnym wierszykiem. Chcę, aby to zakończenie było z jednej strony lapidarne, ale z drugiej by oddawało całą istotę i smak tego cudownego okresu mego dzieciństwa. Uważam, że takowym odbiciem tego, co podałem na wielu stronach, mogą być fragmenty wiersza mego ukochanego artysty, geniusza Młodej Polski, Stanisława Wyspiańskiego, zawarte w *Wierszyku wakacyjnym* z lipca 1903 roku:

Czyś się przypatrzył na obłoki,
jak płyną wiecznie świeże?
czyś już jest młodszy o te roki,
które ci smutek bierze?

Czyliś odzyskał już swobodę
i myśl, tę myśl pogodną
i chęć tych dążeń, co są młode,
bo dusza tych jest głodną?